№ 31. Warszawa, dnia 23 Lipca (4 Sierpnia) 1886 r. Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Legia honorowa kobiet francuzkich.

Najwyższym znakiem publicznego uznania we Francyi jest krzyż Legii Honorowej, udzielany tak za czyny męztwa i dzielności rycerskiej w walce z nieprzyjacielem kraju, jak za dowody wyższej cnoty obywatelskiej i zasługi na wszelkiem polu użytku publicznego. Ustanowił go Bonaparte, zostawszy cesarzem; do 1806 zdobił on jedynie pierś męzką, a pierwsza kobieta, której danym został, zdobyła go sobie, tak jak mężczyzna, na polu bitwy. Przecież nie przyznano jej go za to, że umiała walczyć jak mąż, i być jak mąż dzielną i waleczną, lecz za to, że poświęcała się jako kochająca kobieta. Otrzymała go za miłość siostrzaną Wirginia Ghesquière, Bretonka, której zatem, obok czystej gallijskiej krwi w żyłach, może tkwiła w duszy tradycya druidki Weledy i tych niewiast, które się wieszały na jedwabnych sznurach namiotu Cezara.

Przez tych ośmdziesiąt lat, które upłynęły od chwili przypuszczenia kobiety do godności krzyża Legii Honorowej, otrzymało ten znak zaszczytny dwadzieścia jeden kobiet i w bieżącym roku ma on zabłysnąć także na jednej jeszcze piersi niewieściej—na piersi Siostry Miłosierdzia, dla której żąda go urzędnik Rzeczypospolitej i wzywa o to jej prezydenta, jakkolwiek Miejska Rada Paryzka wypędza ze szpitali i ambulansów tamtejszych te służebnice ubogiego pod znakiem Chrystusowym. Więc też wywołało to w jednym odłamie prassy paryzkiej głosy niezadowolenia i pytanie: dlaczego zaszczyt krzyża Legii Honorowej spotyka kobietę tak rzadko, w tak długich odstępach czasu i tylko za czyny natury bohaterskiej; gdy tymczasem mężczyzna bierze go co rok za pracę w rozmaitych gałęziach chwały narodowej, lub dobra publicznego? Jedna tylko Róża Bonheur otrzymała go wyjątkowo, jako malarka wyższego talentu.

Występującym był niejaki Tomasz Grimm; dzienniki innych odcieni odpowiedziały mu, że nie jest to bynajmniej poniżeniem kobiety, ale pozostawieniem jej na właściwem stanowisku. Najważniejszem polem działalności kobiecej jest dotąd, i zapewne będzie zawsze, rodzina, ognisko domowe, i tam-to szukają jej z uczczeniem jej cnoty nagrody Montyona, które otrzymuje liczniej, niżeli mężczyzna. Lecz poza tem nie ma ona takiej, jak mężczyzna, sposobności do wydostania się na świecznik uznania publicznego: nie stawa na czele wielkich instytucyi naukowych, nie prowadzi wielkich przedsiębierstw przemysłu, ani działań politycznych. W sztuce zaś znalazła zaraz uczczenie, równe mężczyźnie, skoro tylko przedstawiły się warunki odpowiednie.

Choć poziom moralnych pojęć Francyi zdaje się być obecnie zniżonym, jednak znakomita większość narodu tak jeszcze idealnie pojmuje kobietę, że musi to być postać niczem nieskażoną, bez zmazy żadnej na godności kobiecej, aby jaka mogła spotkać taka najwyższa nagroda uczczenia ze strony narodu.

U Róży Bonheur niepospolity talent spotkał się szczęśliwie z życiem bez zarzutu, i uczczono go jak należy.

Pisał to John Lemoine i czuć pod jego słowami, że miał na myśli genialną pisarkę, która mimo to nie spotkała taka godność: autorkę „Consuelo“, „Les maîtres sonneurs“, „La petite Fadette“—Sand!...

Wśród tej polemiki dziennikarskiej ukazało się w druku dwadzieścia jeden biografii szlachetnych kawalerek krzyża Legii Honorowej—dwadzieścia jeden obrazów cnoty i poświęcenia, życia jak łza czystego. Spisał to Jan Alesson i wszystkie usta niechętne musiały się zamknąć, bo nie można tu już było nic powiedzieć o koteryjności, o stronnictwie. Połowa tych bohaterek była z ludu...

Poczet ich otwiera Wirginia Ghesquière, Bretonka rodem. Brat jej został powołany do wojska w czasie wojny hiszpańskiej, która, jak Minotaur, pożerała żołnierzy francuzkich. Delikatny, słabowity, przeraził się swego losu, niewytrzymalnych jego trudów, i rozpacz zapanowała w rodzinie, ale siostra postanowiła bohatersko ocalić brata. Włożyła jego suknie, zabrała papiery i pod jego nazwiskiem została wcieloną do 27-go pułku piechoty liniowej, która miała zaraz wsiadać na okręty i płynąć do Portugalii, gdzie walczono ze sprzymierzeńcem krajów iberyjskich, z Anglikami. Dziewczyna była wysoka, silna, piękna tą urodą kobiet gallijskiego szczepu, których regularne rysy mają przy śniadej cerze wyraz męzkiej śmiałości i odwagi. Intelligentna przytem i szybka w postanowieniu, została w krótkim czasie sierżantem—„pięknym sierżantem“, jak ją zwano w pułku, gdzie zdobyła sobie zarazem sławę nieustraszonego męztwa i bystrości. Obie strony walczyły zacięcie; w jednej z wycieczek w głąb' kraju i niespodziewanej bitwie, zginął pułkownik jej pułku, lecz ciała nie można było odszukać na placu boju. Mógł ranny zawlec się gdzieś na stronę i sierżanta Ghesquière wysłano na poszukiwanie. Zapuścił się daleko, ale dotarł do celu, znalazł pułkownika, którego przecież uprowadzało dwóch Anglików, officerów. Rzucił się na nich, zabił jednego, drugiego ranił, ale pułkownik, jeszcze żywy, został przyprowadzony do obozu francuzkiego. Sierżant Ghesquière zemdlał przecież, stanąwszy na miejscu; dostał ranę w bok, krwi utracił wiele i sił mu nagle zabrakło w chwili, gdy dokonał przedsięwzięcia. Poznano kobietę. Junot zażądał dla niej krzyża walecznych, i dzielna dziewica otrzymała

go. Otoczona wysokiem szacunkiem wszystkich swych towarzyszy dosłużyła wojskowo do końca kampanii, potem wróciła spokojnie do swojej wioski bretońskiej. Dożyła lat 100, czczona i podziwiana do końca, ale za mąż nigdy nie wyszła—nie chciała. Charakter jej nabrał już snadź zbyt męzkiego nagięcia.

Marya Schellinck, Belgijka, z Flandryi francuzkiej, także wojskową zasługą zdobyła sobie krzyż Legii Honorowej. Tę popchnął w szeregi zapał patryotycznego uniesienia. Gdy z wybuchem pierwszej rewolucyi francuzkiej, cała Europa rzuciła się na Francyą, entuzyastka przebrała się pomęzku i zaciągnęła do wojska, została wkrótce kapralem, po bitwie pod Jemappes, gdzie była ranną kilkakrotnie, uczyniono ją sierżantem. Opatrywana przez starego chirurga, uprosiła sobie milczenie, walczyła w bitwach pod Arcole, pod Austerlitz, pod Jena. Tu okazała męztwo tak bohaterskie, że nietylko mianowano ją officerem, ale sam Napoleon przypiął jej krzyż który zdjął z własnej piersi swojej. Wtedy pod siłą wzruszenia i łez wydała tajemnicę; zażądała też zaraz dymissyi i otrzymała ją, daną zaszczytnie. Żyła lat 82.

Anna Biget, inaczej Siostra Marta, zakonnica reguły Wizytek, urodzona w r. 1748, zasłynęła czynami energii i poświęcenia potrzebującego sił męzkich. W 1803 r. rzuciła się w płomienie palącego się domu i uratowała kobietę z dwojgiem dzieci—matkę, która, nie mogąc unieść obojga, a niezdolna zostawić żadnego, skazywała się z niemi na śmierć w ogniu. W 1807 r. wydarła podobnie śmierci gwałtownej sędziwego starca, który przy wylewie rzeki Doubs został uniesiony przez fale. Tonął, a nikt nie pośpieszył mu z ratunkiem; bo starzec nie miał dzieci—nikogo blizkiego sobie. Ona uczuła mu się blizką przez ludzkość serca swego i uratowała go. Życie jej było jednym ciągiem poświęcenia w lazaretach wojskowych i na polu bitew, gdzie była zawsze przy zbieraniu rannych i wyszukiwaniu ich między trupami. W 1809 roku zajęła się smutnym losem hiszpańskich jeńców, których stu przebywało w Besançon. Że wojna była prowadzona w Hiszpanii zacięcie, że obrona bywała nieraz okrutną, więc nienawiść ludności dotykała biednych niewolników; ale ona stanęła między nimi i roznamiętnionymi ludźmi, troskliwa o jeńców, jak siostra o braci. Tak była wszędzie: tkliwą silną i gotową do ofiary. W 1814 roku książę Reggio spotkał ją w ambulansie, klęczącą przy łóżku młodego, konającego żołnierza, który chciał, a nie mógł już, mówić pacierza. Ona mówiła go za biedaka i wtedy-to marszałek Francyi przystąpił do niej. — To ty jesteś, Siostro Marto? — zapytał.—Poznałem cię po dobroci twojej... Uścisnął jej rękę z uszanowaniem i podał ją do krzyża Legii Honorowej; ale czasy były ciężkie i nie miano czasu myśleć o nagrodzeniu zasługi jednej kobiety, gdy padały państwa i narody. Otrzymała go jednak w 1815 roku w Paryżu. Ranni i umierający wszystkich narodów leżeli w szpitalach zdobytego miasta i ona obsługiwała wszystkich. Imię jej stało się głośnem, bo wyszukiwała i pielęgnowała biednych żołnierzy francuzkich, którzy kryli się po domach z trwogi, aby ich nie wcielono potem do armii, którą już nie Cesarz miał dowodzić. Zmarła w 1824 roku, licząc lat 76 wieku.

Wdowa Perrot była jakoby Siostrą Miłosierdzia bez szaty zakonnej i zarazem amazonką bohaterskiego ducha; szczegółów o życiu jej jest bardzo niewiele. Za pierwszej wyprawy do Algieryi pojechała tam z wojskiem z miłości dla męża, kaprala Perrot, którego nie chciała puścić samotnie za morze. Czasy były inne, druk, dzienniki nie szerzyły tak wiedzy pomiędzy niższemi klassami społeczeństwa i Afryka ze swemi pustyniami i dzikim wśród niej ludem Beduinów przerażała wyobraźnię. Więc kobieta puściła się z mężem w świat nieznany, uczyniwszy się wiwandyerką. Przebyła w ten sposób całą kampanią; straciła w niej męża, ale już nie chciała opuścić armii, z którą czuła się zbratana sercem i duszą. Została więc jakoby przy sztandarze Francyi walczącej z hordami dzikiemi, a co w rzemiośle swojem zbierała od jednych, oddawała darmo drugim—takim, którzy nie mieli zkąd płacić, i zysk nie był niczem dla niej. A w czasie walki nie kryła się tchórzliwie, za życia męża ciskała się za nim śmiało, a i potem, gdy bitwa stawała się gorącą, unoszona zapałem, rzucała się w nią, biła się jak żołnierz. Raz została ciężko ranną; że przecież jej czyn odwagi, rycerskie darcie się w środek Arabów, by przebić ich kupę, przyczynił się do zwycięzkiego zdecydowania walki, generał ozdobił ją krzyżem zaraz na placu. Umarła w 1863 r.; i oddano jej przy pogrzebie honory wojskowe, jakie przysługują kawalerom Legii.

Aniela Duchemin, więcej znana pod nazwiskiem Wdowy Brulon, była porucznikiem 42-go pułku piechoty liniowej, odbyła siedm kampanii, otrzymała trzy rany: oto tytuły jej zapisane w regestrach Domu Inwalidów, który przyjął pod swój dach rycerkę i dochował do śmierci. Rodzina, z której szła, była rycerskiego, patryotycznego ducha; rycerskiego, patryotycznego ducha był mąż. Ten mąż, i ojciec, i dwaj bracia walczyli za Francyą, gdy Rewolucya wywołała przeciw niej całą Europę — walczyli i poginęli na polach bitew i wtedy ona, czy przejęta rozpaczą, czy zacięcie chcąca się trzymać tego, czemu oddała wszystko, co było jej drogim na swiecie—wstąpiła do wojska pod męzkiem nazwiskiem najstarszego, w dzieciństwie zmarłego brata. I ona była Bretonką, miała gallijską gorącość uczuć i miłość swej ziemi, miała waleczną dzielność swego plemienia; wkrótce została kapralem kwatermistrzem i odznaczyła się niepospolicie przy oblężeniu Calvi. Broniąc do ostatka ważnej pozycyi, została tak ciężko ranną, że cudem tylko utrzymała się przy życiu. Wszyscy już teraz wiedzieli, że była kobietą, ale wdowa po zmarłym wojowniku, kobieta poważnego charakteru, nie została nigdy dotknięta żadnem poniżającem ją podejrzeniem. Jeszcze dwa razy trafiła ją czy kula, czy stal broni nieprzyjaciela. Gdy cesarstwo upadło, podała się do dymissyi; officerowie zapragnęli, aby ten smutny odwrót odbył się dla niej z honorami wojskowemi i dano jej stopień porucznika. Zmęczona i cierpiąca na stare rany została przyjętą za Ludwika Filipa do Inwalidów w charakterze dymissyonowanego officera. W 1851 Napoleon ozdobił ją krzyżem Legii. Umarła w 1859, pochowana w grobach u Inwalidów. Żyła lat 87.

(Dokończenie nastąpi).

JAROSŁAW VRCHLICKI.

Z CYKLU POEZYI: „MUZYKA W DUSZY".

I.

Serenada melancholiczna.

Z lipy samo złoto pada,
Ćmi powietrze kwietny puch,
Motyl ciężkie skrzydła składa,
Pszczół i ptaków rozgwar zgłuchł.

Próżno! Miłość mną owłada,
Ona skarb mój, szczęście, druh;
Z lipy samo złoto pada,
Ćmi powietrze kwietny puch!

Księżyc się po niebie skrada
Pośród mgieł, jak srebrny duch;
Motyl ciężkie skrzydła składa,
Pszczół i ptaków rozgwar zgłuchł.

Z pól gdzieś świerszczów brzmi narada,
W cieniach taniec złotych much;
Z lipy samo złoto pada,
Ćmi powietrze kwietny puch.

O, rzuć serce swoje rada
W wieczny snów i przeczuć ruch!
Motyl ciężkie skrzydła składa,
Pszczół i ptaków rozgwar zgłuchł.

Kochaj, nim zapłaczesz: biada,
Miłość—Bóg, świat, szczęście, druh!
Z lipy samo złoto pada,
Ćmi powietrze kwietny puch.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Mógł się tu złożyć poselstwem króla, a zresztą nie dbał o to, że stara się na niego pogniewa i wyźwierzy. Pędem jednym wbiegł na wschody i drzwi otworzył, nie oznajmując się, sądząc, że Biankę może zastanie samą. Nie poszczęściło mu się, bo zamiast jej, zastał starą matkę z niemłodym mężczyzną, wystrojonym zcudzoziemska, w peruce, chociaż świeżo zgolony wąs i jasna po nim, nieopalona jeszcze, skóra świadczyły, że się przebrał niedawno.

Bertoni zimno go i bez gniewu przyjęła; a gdy się oznajmił od obozu i króla, poczęła wraz ze swym gościem ciekawie rozpytywać o wiadomości obozowe.

Złożyło się przytem tak, że niemłodego jegomości nazwała po imieniu i nazwisku, a był to książę Massalski, stolnik.

Małoby on obchodził Strzębosza, gdyby go coś nie tknęło, że mógł być do Bianki prowadzonym przez matkę. Postanowił go tu przeczekać, aby się domacać prawdy.

Ów pan Massalski dosiadywał też dosyć długo, ale w końcu ustąpić musiał, a Bertoni i Dyzmę z nim odprawić chciała, ale się nie dał zbyć i powrócił do bawialni.

Włoszka parę pytań o królu zadała, na które Dyzma odpowiedział, lecz język mu już świerzbiał pytaniem, co znaczył ów Massalski.

— Mógłeś się przecie w-mość domyśleć — odparła z przekąsem stara — że on tu dla mnie nie przychodzi... ale dla Bianki. Zakochany w niej, a choć mu familia nie daje się żenić z mieszczanką, pewnie jej słuchać nie będzie.

Rzucił się aż Strzębosz.

— Piękne pani szczęście z tym starym grzybem córce gotujesz! — zawołał—życzę tylko bez wiadomości króla nic nie poczynać, bo się łacno na gniew jego narazić można.

— Nauk nie potrzebuję—odparła dumnie Włoszka.

— A zmuszać Biankę—dodał Dyzma.

— Ja jej wcale nie potrzebuję zmuszać—odezwała się Włoszka—dziewczyna ma rozum... król też jej szczęściu na zawadzie nie stanie. Idzie tylko o rodzinę, ale ja u Rzeczypospolitej weneckiej szlachectwo stare wyrobię dla Bertoni... i—na swojem postawię.

Jak oszalały z bólu i smutku słuchał tego Strzębosz... ociągał się jeszcze, sądząc, że Biankę będzie mógł widzieć i przekonać się o tem, jak przyjmowała konkurrenta, ale mu stara oświadczyła, iż córki w domu niéma.

— Próżno byś się też, kochanku, trudził później—dodała — dla ciebie jej nigdy w domu nie będzie... wybij ją sobie z głowy.

— Zobaczymy! — rzekł ze złością, wychodząc Dyzma.

Zeszedłszy na dół, stał pod kamienicą długo, na pół skamieniały, z sercem rozdartem, sądząc, że może powracającą do domu schwyci dziewczynę; lecz, napróżno pół godziny pod murem wystawszy na czatach, wściekły, na zamek powrócił.

— Miałem czego się śpieszyć! — wołał sam do siebie.

Najpilniejszą było teraz rzeczą o tego Massalskiego się rozpytać; ale kilku towarzyszów i dworzan królowej napróżno badał: żaden mu o stolniku Massalskim nic powiedzieć nie umiał.

Dopiero stary komornik króla, który pozostał przy pokojach, jako dozorca karłów, małp i papugi... uderzywszy się palcem w czoło, począł prawić:

— Wiem! wiem!... znali go dawniej... Słaby jest na umyśle.. waryatem go nazwać nie można, bo nie dokazuje nic, furyi nie wyprawia, ale nie spełna rozumu. Pilnuje go rodzina, bo już raz z chłopką się chciał żenić, a potem z żydówką. Znają go tu, znają!

Jeszcze się straszniej oburzył Strzębosz dowiedziawszy, kto był ów Massalski. Świadczył stary komornik, iż nigdy ten biedny człek nikomu nic złego nie uczynił, uprzejmym był i słodkim, a miał tylko passyą szczególną podarkami wszystkich obsypywać, na które się ruinował.

Zaledwie kogo poznał, albo parę razy widział, natychmiast mu coś na pamiątkę przynosił; pilnowali go krewni, ale zapobiedz temu nie mogli. Co miał Massalski wszystko tak rozpraszał: klejnoty, broń, pamiątki stare. Gdy mu zabrakło co dawać, brał u kupców na kredyt. Spotykało to zarówno mężczyzn i kobiety, gdyż serce miał bardzo czułe i kochał się a oświadczał nieustannie.

Dla Włoszki tytuł jego był ponętą, a miał też kniaź resztki fortuny na Białej Rusi, która, choć mocno zadłużona, oczyszczoną być mogła. Starej Bertoni, wcale się niedziwował Strzębosz — ale swej Biance, dziewczęciu w którego serce wierzył—!

Nie pojmował tego, że tażsama krew płynęła w żyłach matki i córki, i że płochę dziewczątko uśmiechało mu się wdzięcznie, przyjmowało go mile, ale zarówno zalotnie i innych. Stary Massalski, który się dla niej przebrał poeuropejsku i włożył perukę—śmieszył ją, lecz książęcy jego tytuł może ją kusił, a wpływ matki... codzienny, nie mógł być bezowocnym.

Strapiony Dyzma wybrał się raz i drugi z zamku, krążąc około domu na Starem Mieście, zasadzając się pod Ratuszem, w ulicach, — ale dziewczęcia, strzeżonego, nie spotkał. Miał tylko przyjemność widzieć starego księcia, przybywającego codzień ze szkatułeczkami i zwitkami, którego byłby ubił, gdyby mógł. Stolnik zaś, doskonale pamiętający twarz każdą, uśmiechał mu się jako znajomemu, gdy go spotkał, i wielce uprzejmie pozdrawiał.

Myślał zpoczątku Strzębosz z nim się rozprawić—lecz byłby się na śmiech naraził, bo stolnika za pół obłąkanego miano.

Przez kilka dni tak pobłądziwszy z rozpaczą w duszy, sam już nie wiedząc, jak sobie radzić, poszedł powtórnie do Bertoni.

Przyjęła go mrucząc, kwaśno i spytała w progu:

— Czegóż jeszcze chcesz! .. czego?.. darmo się nie włócz—nic nie wskórasz.

— Ale na Boga miłego! — krzyknął Dyzma zrozpaczony — toż macierzyńskich dla dziecka nie masz wnętrzności, żeby je na łup szalonemu dawać! Cały świat wie o nim, że rozumu nie ma.

— A ja wam tylko go tyle życzę, co jemu pozostało—odparła równie gwałtownie Włoszka.

— Król jest opiekunem panny Bianki—mówił dalej Dyzma, myślicie, że mu miłem będzie, gdy się o tem dowie? Wyrzecze się i was i jej: za to ja wam ręczyć mogę.

Bertoni śmiechem szyderskim przyjęła tę pogróżkę.

— To nasza sprawa—burknęła—nie opiekujcie wy się tylko moją dziewczyną. Z królem ja będę wiedziała jak poczynać; nie taki on straszny, jak się wam wydaje.

Dyzma umyślnie głos podnosił, sądząc, że może nim z kryjówki wywabi dziewczę i choć zobaczyć ją będzie mógł; lecz jej w domu nie było, czy się pokazywać nie chciała,—nie wyszła. Doczekał tylko przybycia stolnika, który, zobaczywszy go, niespokojnie po kieszeniach szukać począł czegoś i dobył nareszcie spinkę turkusową.

— Ponieważ miałem honor poznać waćpana dobrodzieja—rzekł z ukłonem—niech-że mi wolno będzie zapisać się w pamięci jego tą miłą pamiąteczką.

Strzębosz, odtrąciwszy datek, wybiegł jak szalony.

Obawiał się, aby krolowa nie pośpieszyła z listami i odprawą, nim się będzie mógł z książką zobaczyć. Wprawiało go to w rozpacz taką, że po całych dniach stał na czatach i zapomniał nawet się dowiedzieć o podkanclerzynie.

Gdy mu to na myśl przyszło, wreszcie wprost do pałacu jej pośpieszył. Tu zastał wszystko w jakimś ruchu gorączkowym, jak gdyby sama pani znowu się w podróż wybierała.

Biegali ludzie, krzyżowała się służba, wynoszono skrzynie, i ledwie mógł z niemałym kłopotem oznajmić się do Radziejowskiej, a potem długo oczekiwać musiał, nim go do niej wpuszczono.

Znalazł ją strasznie zmienioną, rozdrażnioną, z widocznemi śladami łez na oczach. Wstrzymywała się jednak widocznie, aby przed mało znanym nie zdradzić z się cierpieniem. W pokojach uderzyły go, już gdy przechodził, przygotowania jakieś do wyjazdu.

To, co dawniej stanowiło ozdobę tego wspaniale wystrojonego pałacu, albo już znikło, albo stało przygotowane do zabrania. Kosztowne szkatuły, obrazy, zwierciadła, nawet posągi niektóre — leżały i nagromadzone były pod ścianami.

Radziejowska chodziła gniewna, wzburzona,— nie mogąc nawet mówić, tak ją myśli własne oblegały.

Zapominała, że Strzębosz stał i poruszała się mechanicznie, chwytając co było pod ręką, zrzucając na kupki różne fraszki, chowając je i napowrót wydobywając.

Dyzma nie śmiał jej spytać: czy się w podróż wybiera. Wtem oznajmiono brata, i podkanclerzyna wybiegła naprzeciw niemu, prosząc tylko Dyzmę, aby wyjeżdżając, wziął listy.

— Jeżeli do podkanclerzego — szepnął Strzębosz—przykro mi to oświadczyć, ale się ich nie będę mógł podjąć.

Z dzikim śmiechem p. Radziejowska uczyniła mu tylko pytanie:

— Do podkanclerzego? odemnie!

Z tem musiał wyjść Dyzma, to tylko zrozumiawszy, iż między małżeństwem znowu waśń się zajątrzyła; ale, że to już nieraz się wprzód trafiało, nie sądził, ażeby do jakiejś ostateczności przyjść miało.

Do królowej parę razy się zgłosiwszy nadaremnie, Strzębosz nie miał już nic do czynienia, i po dawnych znajomych, którzy w Warszawie pozostali błąkać się zaczął.

Pomiędzy tymi wielu było mających rozgałęzione w świecie stosunki; wszędzie, gdy tylko o podkanclerzynie napomknął, kuso i krzywo na niego spoglądano.

Z pań przy królowej będących dosyć dawniej mając życzliwą, faworytę jej, pannę de Beaulieu, która młodego, przystojnego chłopca bez złej myśli protegowała, Strzębosz się ośmielił pójść do niej.

Przyjęła go wesoło dosyć.

Ciekawa była rozpytać go i słuchała chętnie, nauczywszy się tyle popolsku, iż zrozumieć mogła ten język.

Dyzma umyślnie wspominał biedną podkanclerzynę.

— Biedna?—podchwyciła panna de Beaulieu.— Nie lituj się waćpan nad nią, ma to, na co zasłużyła. Wolno jej było nie poszanować siebie, ale króla w oczach świata kompromitować, ale go różnić z żoną, ale się bezwstydnie czepiać obozu, aż nareszcie mąż gwałtem się jej pozbyć musiał...

Strzębosz krzyknął oburzony, poczynając tłómaczyć się i uniewinniać, ale Beaulieu ani go chciała słuchać, i wyśmiewała.

— Podkanclerzyna — dodała Beaulieu — znalazła w Warszawie wszystkie drzwi zamknięte, nikt jej przyjmować, nikt znać nie chce. Królowa była pierwszą, która wręcz oświadczyła, że na zamku nie dopuści się jej pokazywać. Za przykładem pani poszli wszyscy i zdaje mi się, że oprócz familii, to jest dwóch braci i może najlepszych jakich kilku przyjaciółek, wcale z nią żyć nikt nie będzie. Chciała poróżnić naszych państwa i postępowała bezwstydnie.

Strzębosz nie mógł już wytrzymać, załamał ręce. — Na miłość Boga! posłuchaj mnie pani, to są najniepoczciwsze intrygi i potwarze, których ofiarą padnie kobieta niewinna. Pozwól mi opowiedzieć wszystko.

Z niedowierzaniem zgodziła się panna Beaulieu na cierpliwe przesłuchanie powieści Strzębosza, a uderzyć ją nareszcie musiała historya listów przejętych do królowej. Dyzma zresztą z taką ścisłością i dokładnością wszystko określał, że o prawdomówności jego powątpiewać nie było podobna. Francuzka ostygła nieco; ale zgadzając się na to, że Radziejowski mścił się, utrzymywała zawsze, iż miał do tego powody, bo podkanclerzyna króla starała się przywiązać do siebie i t. p.

Dyzma tak długo siedział, tak silnie przemawiał, tak prosił, że panna Beaulieau obiecała mu królowej powtórzyć, co od niego słyszała, szczególniej na obronę króla.

— N. Pani — dokończył Strzębosz — zanadto zaufała człowiekowi niegodziwemu, a podkanclerzy korzystał z tego i osnuł sobie owładnąć wszystkiem; przyjdzie jednak czas.

— N. Pani — przerwała Beaulieu—wcale nie tak ślepo ufa Radziejowskiemu, jak wpan sądzisz.

Na tem przedłużona skończyła się rozmowa, która tegoż dnia się odbiła w sypialni królowej. Strzębosz miał tę pociechę, że podróż jego nie była daremną.

Poszedł raz jeszcze do pałacu, który dotąd nosił nazwę Kazanowskich i znalazł tu jeszcze wybitniejsze oznaki przygotowań jakichś, które mu zrozumieć było trudno, a ludzie pytani tłómaczyć mu ich nie chcieli.

Podkanclerzyna ubrana prawie żałobnie, cała w czerni, z policzkami, które gorączkowy krasił rumieniec, przyjęła go, siedząc u stoliczka, na którym leżały stosy porozrzucanych papierów.

Zapytała go, kiedy odjeżdża i niecierpliwiła się tem, iż na to odpowiedzieć nie umiał, oddawała mu pismo jakieś i cofała niepewna.

W toku rozmowy wspomniawszy królową, zapytała go, czy ją widział. Dyzma potwierdził to, ale o Maryi Ludwice nie mówił nic.

— Królowa względem mnie jest niesprawiedliwą — rzekła. — Wiem, że N. Pan ująć się nawet za mnie nie może. Nie mam nikogo; jedyna moja opieka, dwaj bracia: ci mi dopomódz muszą. Z podkanclerzym się rozstać niedzowna rzecz, bo-bym umarła...

Dyzma ośmielił się zapytać: czy myślała o przeniesieniu się gdzieindziej, co wnosił z przygotowań, ale na to obojętną, dwuznaczną otrzymał odpowiedź.

Podkanclerzyna naostatek wręczyła mu list do króla.

— Nie potrzebuję wpanu zalecać — dodała — że list ten tylko do rąk własnych i na cztery oczy masz j. kr. mości doręczyć. Dosyć-by było wiadomości o nim, aby mnie o miłostki znowu obwinić, a razem i króla. Jest on moim opiekunem, jemu winnam wszystko, ale na tej wdzięczności ogranicza się nasz stosunek. Ludzie są źli i niepoczciwi.

Z bólem w sercu odszedł Dyzma. Królowa ciągle mu jeszcze oczekiwać kazała, a z Bertoniową i jej córką nie mógł dojść do końca. Naostatek bardzo rano jednego dnia udało mu się dziewczę do kościoła idące ze starą ochmistrzynią pochwycić na drodze.

Bianka smiała mu się wdzięcznie i wesoło, jak dawniej.

— Zlituj się, uspokój mnie — począł przypadłszy do niej. — Matka chce cię poświęcić i oddać szaleńcowi, powinnaś się oprzeć temu. Ja króla zawiadomię.

— A! a! proszę się nie wtrącać do tego — podchwyciło dziewczę zmieszane — ja muszę być posłuszną matce. Stary książę wcale szalonym nie jest, ale bardzo dobrym człowiekiem. Ubóstwia mnie, pada przede mną.

Strzębosz wybuchnął.

— A z nami co będzie?—zapytał — nasza miłość i przysięgi twoje?

Bianka spuściła oczy.

— Ale ja waćpana kocham zawsze — szepnęła — tylko... matki słuchać przecież muszę.

Dyzma wpadł w rozpaczliwy zapał. Włoszka słuchała go, uśmiechając się z naiwnością dziecięcia. Zdawała się niemódz pojąć tego, że miłość dla pięknego chłopca nie dawała się pogodzić z wyjściem za mąż za starego księcia.

Napróżno przemawiał Strzębosz. Uśmiechała się, uspakajała go, ale tak, jak on do serca nie brała, ani swych przyrzeczeń, ani miłostek.

— Ja przecież dla was, nie mogę prowadzić wojny z matką — zakończyła — toby mi życie zatruło a ja go chcę używać. Starego wcale nie kocham, to wam wystarczyć powinno.

Nie mogąc nic więcej na niej wymódz, Dyzma starał się przynajmniej dostać od niej słowo i przyrzeczenie uroczyste, że nie wyjdzie za mąż dopóki król z wyprawy nie powróci.

Bianka się pogniewała.

— Ale ja terminu przecie naznaczać nie będę; mów waćpan z mamą. — To mówiąc i prawie bez pożegnania śpiesznie tak poczęła uchodzić, że Strzębosz zaledwie ją mógł napędzić, aby przebłagać i pożegnać.

Już u progu prawie raczyła się do niego odwrócić, przebaczyć mu, uśmiechnąć się znowu i pierzchnęła potem, zostawiając go osłupiałym.

Dyzma był uparty. Nazajutrz dobijał się do drzwi Bertoni; musiała mu otworzyć.

— Powracam do obozu — rzekł, wchodząc.— Bez żartu król mi się kazał o was dowiedzieć. Po zasięgnięciu wiadomości o stolniku, ja waćpani w imieniu króla objawiam, że jeśli, nim my tu powrócimy, wydasz Biankę samowolnie za tego starego, ja w tem... na oczy się już ani wy, ani córka królowi pokazywać nie będziecie mogli. Z opieki N. Pana i obietnic—daję waćpani słowo—kwita na wieki.

— Myślisz, że się groźb tych zlęknę? — przerwała Bertoni. — Ja króla znam lepiej i dawniej niż wy, a z dzieckiem wiem co mam robić, rady niczyjej nie potrzebuję.

I drzwi mu zatrzasnęła przed nosem.

V.

Pełną tajemnic jest ta ludzka natura, której nikt nie zbadał. W człowieku odzywa się niekiedy uśpione źwierzę, czasem uwięziony duch anioła. Jedno nic, powiew wiatru, woń jakaś, dźwięk przeistacza spokojną istotę, w rozszalałe stworzenie. Pieśń pobożna pokoju bucha pożarnym chórem zniszczenia... Tak, owego pamiętnego poranku w obozie pod Beresteczkiem, we mgnieniu oka, tabory, jakby uśpione, zbudził jeden okrzyk:—Do koni! do broni!

Po ogromnej przestrzeni zajętej taborami przebiegło jakby konwulsyjne drgnienie, wiatr poruszył proporce, zaszeleściały chorągwie, zarżały konie, powybiegali ludzie, zaszczękły szable. Rycerstwo, ciury obozowe, co żyło, dźwignęło się.

Rozkazy z ust do ust podawane krzyżowały się, po pułkach trąbiono w mundsztuki, starszyzna w łosiowych koletach wybiegała z namiotów, czeladź wdrapywała się na wozy, chcąc zobaczyć, czy już nie nadciąga nieprzyjaciel.

— Orda! do koni! nieprzyjaciel idzie! — wołano zewsząd.

Wszczęło się zrazu zamieszanie, ale potężne głosy nawołujących dowódzców ład natychmiast wprowadziły. Nie czekał już nikt dalszych rozkazów; wiedziano co poczynać.

Służba biegała, siodła niosąc na ramionach, a konie, poczuwszy już pochód, niecierpliwiły się, rwały i rżały.

Kilku konnych od króla rozbiegło się po regimentach, co chwila z innej strony grała trąba na zbór.

Ci, co się zrana porozłazili ku borom, aby wiosny powąchać, biegiem do szałasów powracali.

Opowiadano, że czeladzie z końmi na pastwiska, wyciągnąwszy dalej w lasy, natrafiły na opuszczone świeżo koczowiska Tatarów, na porozbijane drogi, kopytami końskiemi, potratowane łąki, pogubione strzały, wojłoki i obławki noclegów.

Nikt nie pojmował, jak mimo czujnych podjazdów mogli się Tatarowie podkraść tak blizko i cicho.

Zdala na wzgórzu widać było stojącego króla otoczonego starszyzną wojskową. Od niego ciągle biegli posłańce i powracali. Prowadzono mu pochwytanych ludzi, języki. Ciche obozowisko szumiało teraz, jak morze wiatrem rozkołysane, a w szumie tym było coś uroczystego, bojowego i niemal wesołego. Mnóztwo tych pomieszanych głosów zlewało się w jeden chór gorący, po nad którym huczało:—Do koni! do broni!

Szlachta, która wczoraj się naradzała, jak przeciw królowi stanąć z grawaminami, zawstydziła się, a krew też w niej zagrała.

— A już wolę raz bić się i skończyć, niż tu na zielonej paszy czekać zmiłowania bożego, gdy tam w domu niéma komu owsa posiać i tatarki, —wołano.

Wszyscy teraz do wozów po najlepszą broń sięgali, a szable krzyżem świętym znaczyli. Niektórzy jakimś starodawnym obyczajem stroili się do boju w co mieli najlepszego.

— Boć to święto dla żołnierza — mówili.

Nawet w ciury duch wstąpił, bo i te latały jak oparzone, niewiadomo: przestraszone, czy rade.

Pułki, którym najłatwiej się było wybrać i ustawić już na placu stawały z chorągwiami, które wiatr zlekka unosił. Gdzieniegdzie troskliwi o siebie jeszcze popuściwszy pasów i rzemieni, zajadali, zapijali na zapas, bo niewiadomo było, kiedy znowu się do misy dobiorą. Zapijano na—pohybel rebellizantom...

Tu i owdzie wyrwał się okrzyk głośniejszy i milknął...

Król był w ciągłym ruchu, dojeżdżał do regimentów, przemawiał do nich, powracał.

Dziwili się teraz wszyscy, jako się nie domyślili Ordy, albo zaspali te łuny, które nocą na wszystkie strony widać było. Czeladź teraz świadczyła, że już drugą noc na niebie się coś paliło zdaleka.

Na pierwszy odgłos zrana Wiśniowiecki i Lubomirski wysłali podjazdy, pierwszy Kozaka swego, wiernego Zaradę, ze czterema starymi i doświadczonemi Kozakami, drugi jakiegoś pułkownika który słynął z tego, że z podjazdu nigdy z próżnemi nie wracał rękami.

Przyprowadzali oni czterech ujętych Tatarów; orda stutysięczna o mil dwie nocowała.

Król przed obrazem N. Panny Chełmskiej poszedł się pomodlić...

Gdy się tow obozie działo, nieopodal, na wzgórzu, czeladzie spokojniuteńko trawę dla koni kosiły, nie spodziewając się, aby im kto przeszkodził, gdy tuż z zarośli poczęły się wyrywać krzyki i pokazali, luźni Tatarowie.

Z początku było ich kilku rozpierzchłych, potem coraz więcej. Stawali i wyzywali. Pomieszane między niemi Kozactwo wołało:

— Do tańca prosim! A co? nóżki bolą! Strach! chodźcie do tańca!

Ciury i nie ciury ruszyły, by się bić, ale Zamojski strażnik, koronny, z rozkazu króla surowo zabronił, aby się nikt wyrywać samopas nie śmiał.

Trwało to krótko, bo gorącej krwi młodzież w miejscu stać zmuszona rwała się, widząc podjeżdżających tuż i najgrawających się, pohańców. Jeden szczególniej Tatarzyn na srokatym koniu z arabskim dżerydem, którym nad głową wykrzykując wywijał, wszystkim dokuczył. Zaczęli się Zamojskiego prosić, aby, kto lepszego konia miał, a ufał sobie, mógł naprzeciw pojedyńczym zwijającym się po polu wybieżeć. Zezwolił król: nuż z szeregów zaczęli się ochotnicy wyrywać ku pohańcom i utarczki pojedyncze wszystkich oczy zwróciły.

W tem stojący przy królu stary rotmistrz Kłodziński powiada:

— Baczyć trzeba na omen, bo Tatarowie w to mocno wierzą, gdy pierwszy z nich padnie w bitwie, na którą stronę twarzą się pochyli, ta pewno przegra. To im serca albo dodaje albo ujmuje.

Ledwie wyrazów tych domawiał, gdy ów na srokatym koniu z dżerydem ścierać się począł z ogromnego wzrostu wojakiem już nie młodym, który na niego gwałtownie się puścił z gołą szablą tylko i szczęśliwie go impetem na ziemię obalił tak, że głową ku Tatarom się przewrócił.

Wśród dziczy krzyk i wisk się dał słyszeć okrutny i ze wszystkich stron z zarośli poczęli się wymykać na pomszczenie zabitego jezdni, jak z uzbrojenia widać było, znaczniejsi Murzowie i dowódzcy. Ale i tym się nie szczęściło, bo ich kilku pochwycono, kilku raniono i zabito.

Coraz większe wrzaski od strony tatarskiej się wszczęły, i już nie pojedyńczo, ale szeregami wysunęli się na wojsko wprost, i to na lewe zaraz skrzydło, według zwyczaju, dlatego, że im z łuków wygodniej strzelać z tej strony.

Wojsko stało jeszcze, jak rozkazano murem, tylko wiatr zerwawszy się chorągwiami nad niem szeleścił. Serca biły, ręce drżały... do boju. Spoglądano na króla, który stał zadumany, jakby godziny od Boga natchnionej, czekał.

Aż przyskoczył Koniecpolski, którego serce rycerskie dłużej wytrzymać nie mogło.

— N. Panie, do nóg waszych z prośbą się skłaniam, na zasługi nieboszczyka ojca mojego, pozwólcie mi pierwszemu wystąpić na nich, pozwólcie! Dnia dosyć upłynęło, a ta dzicz się urąga.

— W imie Boże, mości chorąży — odparł Jan Kazimierz I ręką znak krzyża świętego uczynił w powietrzu. Tuż stojący Lubomirski, pośpieszył z tem, aby mu powinowatego było wolno posiłkować,

Ledwie się to rozstrzygnęło, gdy trąbki zagrały i pułki Koniecpolskiego z Lubomirskim puściły się na Tatarów, których już nie kupka, ale tłum, ćma, nieprzeliczona moc, ściśnięta parła na nie.

Ale jak o mur się dzicz rozbiła, raz i drugi, tyle tylko, że nawałą coraz większą ciążyła i parła. Koniecpolski z Lubomirskim, ani ruszyli z miejsca, na którem się z nimi spotkali.

Gąszcz taka zbiła się w jedną bryłę tam, gdzie walczono, że tylko po chorągwiach chwiejących się w powietrzu rozeznać było można, gdzie się dzicz znajdowała, a gdzie pułki.

Nie wyzywali pomocy mężnie się ścierający, ale ich tak samych na długi bój uparty ważyć się nie godziło, gdy podostatkiem było posiłków.

Nawet pospolite ruszenie, które na odwodzie postawiono, poczęło się rwać i wołać, aby im tatarskiej krwi skosztować dano. Rzucił się więc na sukurs pierwszy hetman polny i padł na skrzydło ordy mocą taką, że je skruszył, choć nieustąpiło z placu jeszcze, za nim Jeremi Wiśniowiecki puścił się z Kozakami swojemi i zwykłem szczęściem, a że się ustąpieniem pułków odkryły pospolite ruszenia, Krakowska, Sandomirska, Łączycka i Ruska szlachta poparła też za przewódzcami.

— Albośmy to gorsi! Zmusili prawie wojewodów swych i popędzili.

Król patrzał. Nie było ci w tych ziemiach i powiatach ani szyku, ani ładu, jak w wojsku ćwiczonem, ale za to gorącość wielka i szło to, jak wicher i burza, z wołaniem, ze wrzawą, i impetem, drudzy Tatarowie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE JAPONEK.

Na żadnem może polu różnice międzynarodowe nie występują tak wyraziście, jak w życiu kobiet. Poczytywana u nas za przedstawicielki konserwatyzmu, w przeciwstawieniu z postępowemi dążnościami mężczyzn—w Japonii zajmują one pod tym względem stanowisko krańcowe. W tej tajemniczej „krainie słońca“ znajdujemy jeszcze kobietę na tymsamym szczeblu umysło-

wego i obyczajowego rozwoju, na jakim się przed wieki zatrzymała. Wprawdzie i tutaj zdarza się niekiedy napotkać umysły badawcze i światłe zdolne odczuć i podzielać ogólne prądy myśli i dążeń obudzonych w ostatnich czasach wśród narodów, lecz te pojedyncze, niepewne i bezsilne objawy milkną zwykle bez echa, unoszone prądem życia, niby wątłe źdźbła słomy na rwącym potoku.

Po większej części kobiety japońskie nie pragną żadnych zmian w obecnem swem położeniu; nawykłe od wieków do próżniaczego, bezcelowego istnienia, czują się zupełnie zadowolonemi z trybu życia, jakie ich matki i babki prowadziły. Pokorne i uległe względem mężów, zajmują przy nich prawie służebne stanowisko, — a gdyby im zaproponowano udział w pracy i umysłowem życiu mężczyzny, większość nie byłaby zdolną nawet pojąć tej myśli i odrzuciłaby ją z oburzeniem.

Wogóle każda nowość budzi w nich wstręt i obawę, podlegając zarazem surowej krytyce, a zachowywanie tradycyi w najdrobniejszych szczegółach jest punktem, z którego zapatruje się Japonka na wszelkie kwestye życiowe. Biedna też czy bogata, do najniższych czy też najwyższych sfer społecznych należąca, obraca się biernie w ciasnem, od wieków zakreślonem kółku. Całem jej dążeniem i jedynym celem życia: podobanie się mężczyźnie, a następnie zupełne poświęcenie wszystkich sił fizycznych wychowaniu potomstwa.

Miłość macierzyńska to najszlachetniejsza strona życia Japonki, które pod tym względem w najpiękniejszem przedstawia ją świetle. Miłość dzieci dla rodziców, a zwłaszcza dla matki, występuje tu w rysach podniosłych zarówno w życiu, jak w podaniach ludowych i dziełach sztuki. Wrodzona lekkomyślność japońska wprawdzie i tutaj niekiedy się ujawnia, miłość jednak rodzinna wpojoną jest głęboko w życie całego narodu. Do ulubianej i najpopularniejszej ich literatury zalicza się utwór dydaktyczny, zawierający 24 przykłady miłości i wdzięczności synowskiej.

W pierwszych latach dzieciństwa matki japońskie wszystkich stanów są jedynemi karmicielkami i opiekunkami swych malców. Sztuczne odżywianie dzieci mlekiem krowiem nie może tu mieć miejsca, gdyż Japończycy wogóle nie używają mleka źwierzęcego, którem się brzydzą. Wyręczanie się mamką, jest również prawie niemożliwem, gdyż żadna matka nie opuści swego dziecka, któremu zresztą nic zastąpić nie może jej pokarmu. Tem też usprawiedliwiać się daje zwyczaj karmienia dzieci do 5-go roku życia, co zdarza się bardzo często, jakkolwiek termin trzyletni jest w tej mierze zwykłą normą czasu.

Wówczas-to już powstają owe pierwsze węzły serdecznego uczucia, które — w synach zwłaszcza—trwa niewygasłe do najpóźniejszej starości i staje się dla nich najpierwszym i najświętszym obowiązkiem. Tym sposobem kobiety japońskie w podeszłym wieku mają nietylko zapewniony byt bez troski o jutro, lecz często wywierają wpływ przeważny w kole rodzinnem.

Los kobiety bezdzietnej jest nierównie smutniejszym; wobec męża jedyną jej bronią wdzięki młodości: gdy te przeminą, mężowie zwykle zaniedbują, a często i opuszczają swe żony. Zawieranie małżeństw w Japonii jest wogóle zbyt łatwem, a węzły małżeńskie są tam bardzo słabe, gdyż nawet z kobietą, która ma zostać matką, w każdej chwili zerwane być mogą.

Wielożeństwo, jakkolwiek osłonione stanowiskiem jednej prawej małżonki, istnieje dotąd i bynajmniej nie poczytuje się za czyn karygodny; bogaci hołdują też chętnie temu zwyczajowi. Tak zwane żony poboczne mają też swoje określone prawa i odgrywają pewną rolę w rodzinie, nawet w obecności prawej żony. Handel temi kobietami i ciągła wymiana ich nie ustaje tu nigdy. Naturalnym skutkiem tych stosunków są zatargi i intrygi w rodzinie, a ostatecznym ich rezultatem zawsze bywa pogorszenie losu kobiety. Obraz tego nieładu jest oburzającym i stanowi jednę z głównych przeszkód w umoralnieniu i podniesieniu umysłowego poziomu całego narodu.

Obrzęd zaślubin polega na wychyleniu przez nowożeńców, ze wspólnej czary, napoju, zwanego *Sako* (wino ryżowe). Ceremonia ta odbywa się w domu pana młodego, w obecności oznaczonej liczby świadków i z odpowiednią uroczystością. Związek zawarty z taką łatwością, równie łatwo zerwanym być może; zależy to, naturalnie, od humoru małżonka. Gdy żona przestanie mu być miłą, nie potrzebuje on dla pozbycia się jej nic więcej, jeno wydać jej piśmienny rozkaz opuszczenia jego domu, z powołaniem się na jakąkolwiek pozorną przyczynę, np. brak szacunku względem męża lub rodziców. — Odepchnięta, opuszcza z rezygnacyą miejsce dotychczasowego—co prawda wątpliwego — szczęścia, przywdziewa jedyny ubiór, jaki jej mąż pozostawił, i oddala się, żegnając go głębokim ukłonem. Wszystko, co dotąd miała prawo uważać za swoję własność, nawet własne swe dzieci, pozostawia w opuszczonym domu. Powraca zwykle do krewnych lub przyjaciół, poszukując pociechy wśród towarzyszek niedoli; niekiedy wychodzi za mąż powtórnie.

Ta ciemna strona życia rodzinnego wypływa głównie ze sposobu wychowania córek, w których rozwijają i kształcą jedynie talenta, mające na celu—podobanie się brzydszej połowie rodu ludzkiego.

Godną pochwały i naśladowania jest czystość i porządek Japonek w utrzymaniu domu. Znając prostotę ich mieszkań z opisów lub illustracyi, trudno sobie wyobrazić z jaką wytwornością i gustem bywają one urządzane; we wszelkim jednak komforcie najskrupulatniejsza czystość zawsze pierwszy stanowi warunek w przyozdabianiu domu. Całem umeblowaniem są tu rogoże, czyli maty, pokrywające podłogę, wyrabiane z pewnego gatunku bardzo sprężystej trawy w zastosowaniu ich wielkości do danych wymiarów, tak, iż razie zmiany pomieszkania, muszą być do nowego lokalu dopasowywane. Mebli, według naszych pojęć, Japończyk nie zna wcale; w pokoju jego niéma stołu ani krzeseł, łóżka ani szafy. W czasie posiłku podaje się każdemu maleńki stoliczek, na którym, we wzorowym porządku, a nawet z pewnym komfortem, zastawiane bywają potawy. Tosamo się powtarza podczas picia herbaty, którą Japończycy o każdej porze dnia z wielkiem upodobaniem się raczą.

Na noc wyjmują z szaf ściennych grubo watowane kołdry i rozkładają je na podłodze. Tożsamo urządzenie znajdujemy niemniej we wszystkich oberżach japońskich. Prócz tego niezbędnym w każdej sypialni sprzętem jest ozdobna lampa, umieszczona w małym papierowym domku, i garnek z węglami, zwany *Hibetszi*, bez którego pokój japoński obejść się nie może. Na nim podczas dnia grzeje się bezustannie woda do herbaty; tlejące przez całą noc węgle tworzą żar przy którym Japończyk natychmiast po przebudzeniu się zapala swoję nieodstępną i ulubioną fajkę.

Przyrządzaniem i gotowaniem posiłku wśród mieszczan zajmują się same gospodynie; tylko bogacze lub cudzoziemcy trzymają kucharzy, kształcących się specyalnie w kulinarnej sztuce w celniejszych hotelach europejskich.

Pan domu jada zazwyczaj sam, obsługiwany przez żonę, która po spełnieniu tego obowiązku ma prawo zasiąść do własnego posiłku, przyczem posługuje jej służba żeńska, jeżeli ją trzyma. Spokojnie zasiąść do stołu może ona jednak w tym tylko razie, gdy małżonek jej i pan w zupełności został zadowolonym. Gdy jej się to stale udaje i wogóle jeżeli się jeszcze podoba mężowi, może mieć błogą nadzieję pozostania nadal pod jego opiekuńczym dachem, nie lękając się miecza Damoklesa, zawieszonego bezustannie nad jej głową.

Los jej zresztą godnym jest jeszcze zazdrości, w porównaniu z licznym zastępem kobiet niezamężnych, które stanowią tu oddzielną klassę publicznych tancerek i śpiewaczek, do czego sposobią je zwykle od dzieciństwa. Artyzm śpiewaczek, zwanych *Geiszas*, polega głównie na umiejętnem użyciu dwóch instrumentów narodowych: wielkiego *koto*, który się kładzie na ziemi przed śpiewaczką, i małej, trzystrunnej *Samissy*, służącej do akompaniamentu podczas śpiewu.

Artystyczne to powołanie w połączeniu z tańcem mimicznym wymaga pewnej zręczności i rozwija sztukę zdobienia się i strojenia z wielką wytwornością, co zresztą powszechnem jest w Japonii.

Z trudnością nam przychodzi oceniać wdzięk lub piękno narodowego ich stroju; odpowiada on jednak najzupełniej swemu celowi, jest bowiem praktycznym i wygodnym, krój nie ulega żadnym kaprysom mody i każda suknia noszoną być może do zdarcia.

W lecie używane bywają tkaniny lekkie i cienkie, w zimie—grube, gęste wełny, podbite cienką warstwą waty, która cały ubiór zgrabniejszym i wygodniejszym czyni. Zimowe pokrycie głowy osłania prawie zupełnie twarz Japonki, pomimo to wszakże umie ona je nosić z prawdziwym wdziękiem.

Strój spacerowy — z wyjątkiem wielkich drewnianych pantofli—nie różni się w niczem od pokojowego. Obówie to kształtem do małych podnóżków zbliżone, przytwierdza się do nogi miękkim bawełnistym bandażem, który się przewija pomiędzy wielkim i sąsiednim mu palcem; w tym celu w pończochach nawet palec wielki jest oddzielonym od pozostałych, ztąd też bezwątpienia pończochy japońskie noszą nazwę *rękawiczek nożnych*.

Ciężkie to i dziwaczne obuwie, zarówno przez obie płcie używane, nie przyczynia się wprawdzie do zgrabności i lekkości ruchów, jest jednak owiele wygodniejszem i racyonalniejszem od używanego dodziśdnia przez Chinki, hołdujące stale potwornemu zwyczajowi, który, oprócz kaleczenia nóg, bardzo szkodliwie wpływa na ogólny stan ich zdrowia.

Natomiast sposób czesania się Japonek nie jest pozbawiony gustu; bywa nawet prawdziwie effektownym u kobiet obdarzonych przez naturę bogactwem włosów. Sztuka ta jednak wymaga specyalnych studyów i niepospolitej zręczności; Japonki też nie czeszą się nigdy same, lecz przy pomocy fryzyerek, bez których najbiedniejsze nawet kobiety obejść się nie umieją.

Malowanie twarzy i szyi wymaga również wielkiej zręczności i wprawy. Zwyczaj ten jest rzeczywiście wstrętnym, a przecież tak rozpowszechnionym, iż trudno spotkać młodą Japonkę, któraby nie była malowaną, choć ją to raczej szpeci, niż upiększa. Twarz i szyja bywają zazwyczaj mocno wybielone, wargom zaś otrzymują nienaturalną, mocno-różową barwę. Pod włosami na szyi pozostawia się wązki pas wolny od farby, co tem wyraźniej uwydatnia sztuczny koloryt poblizkiej skóry. Jako oznakę wysokiej godności nosiły dawniej kobiety w miejsce brwi zgolonych dwie czarne plamki na czole; dziś wszakże już rzadko widzieć się daje. Zwyczaj golenia brwi i czernienia zębów mężatkom również wychodzi z życia; natomiast malowanie dolnej wargi dotąd się utrzymuje. Na samym środku wargi napuszcza się farby jaskrawo-czerwonej, metalicznie błyszczącej — w postaci plamy, która całej twarzy nadaje szpetny wyraz. Bez tej jednak ozdoby toaleta Japonki za skończoną uważać się nie może.

Zbyt wiele zajęłoby nam miejsca rozpatrywanie wszystkich wad moralnych i umysłowych, które do dziśdnia wśród kobiet japońskich dotrwały — ograniczymy się tu tylko na zaznaczeniu, iż brak im tak poczucia osobistej godności, samodzielnego, umysłowego życia i pracy — jak i opieki prawa. Miejmy jednak nadzieję, iż niepowstrzymany prąd czasu, a z nim nowych idei, obiegający wszystkie kraje na ziemi, przedrze się i do tego wreszcie społeczeństwa, przynosząc uciśnionym jego członkom pożądane zmiany i swobody. Życzymy im tego serdecznie, oddając hołd licznym w tym kraju cnotom niewieścim, do których zaliczamy: gotowość do ofiar i poświęcenia, cierpliwość, skromność, zamiłowanie porządku, i niestrudzoną wytrwałość w zajęciach domowych.

N.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż w Lipcu 1886 r.

(Dokończenie).

Sully Prudhomme przebiega kolejno cudne utwory poetyczne aż do *Śmierci Sokratesa* i *Jocelina*, zatrzymuje się potem nad prozą. Wspomina *Podróż po Wschodzie*, *Zwierzenia Rafaela*, *Genowefę*, *Kamieniarza z Saint-Point*, ukazuje nakoniec w poecie męża stanu. „Życie polityczne Lamartine'a mówi on, było jakoby poematem w czynie. Najpopularniejsza z jego prac *Historya Żyrondistów*, wprowadziła poezyą w rodzaj literatury, gdzie zimny tylko pogląd nie naraża na niebezpieczeństwo. Cudna to epopea prozą, a po niej nastąpił cudniejszy jeszcze poemat oratorski, godzien liry Orfeusza, którym mistrz słowa pokonał rozhukane tłumy."

Godnie też uczcił Lamartine'a Juliusz Clarétie, w imieniu towarzystwa literackiego: nazwał go najpoetyczniejszym zpomiędzy francuzkich poetów. „Nie ma on—rzekł—systematu nie ma szkoły, nie ma wytkniętej naprzód drogi, ale ma duszę. Nie jest snycerzem słowa, ale rzuca na wiatr głos wydobyty z wnętrza piersi, i głos ten przejdzie do następnych pokoleń."

Zakończyły uroczystość piękne zwrotki Clovisa Hugue wyśpiewane w imieniu prowansalskich Felibrów. Lamartine szczerym był zwolennikiem tego zastępu śpiewaków południowych, którzy pod przewództwem genialnego Mistrala, podjęli sztandar rodzinnej poezyi i wysoko podnieśli zaniedbany język langwedocki, ów język starodawnych trubadurów. Z zachwyceniem odczytał Lamartine „Mirellę", ukorzył głowę przed twórcą jej Mistralem i zawołał uniesiony radością: „Mamy nakoniec własną epopeję! mamy swego Homera!"

Felibrowie, ci wierni przedstawiciele idealizmu w poezyi, umiłowali też Lamartine'a, i wielką czcią otaczali jego pamięć wówczas, gdy Francya zapominała o wieszczu swoim.

Inauguracya pomnika ożywiła pamięć poety. Przeglądy literackie powtarzają wciąż jego imię, krytycy rozpatrują się w jego dziełach, badają przyczyny owego pomroku, w jakim utonęła wielka postać; po długiej nocy zapowiadają rychłą zorzę.

„Umysły zwrócą się ku niemu; chwila ta może już blizka, mówi — Albert Delpit.—Stronnictwa polityczne przypomną sobie, że Lamartine przez wszystkie powoływany do rady, żadnego z nich nie zdradził. Wierszopisowie, strudzeni wyszukiwaniem brzęczących a pustych dźwięków, zatęsknią do wielkiej poezyi. Mówcy, znudzeni czczą gadaniną, zechcą ożywić się w zdroju wielkiej wymowy.

„Nawóz naturalistyczny, wkrótce nawskroś przeniknie glebę; zamiast tego cuchnącego nawozu, ogół zapragnie świeżych kwiatów."

Głębiej jeszcze sięgnął znakomity acz zimny krytyk Scherer, do źródła czasowej niepopularności Lamartine'a. Słowa jego na szczególną zasługują uwagę.

„Pod bokiem Lamartine'a, mówi on, spełnił się wielki przewrót, który przeistoczył warunki sztuki poetycznej, zmienił zarazem smak publiczności, przyćmił wszystko, co było i wytknął sztuce nowe szlaki.

„Trudno powiedzieć, aby wszystkie zdobycze Wiktora Hugo w dziedzinie poetyki miały się obrócić na jej korzyść. Nadzwyczajny dar tego pisarza, otyle nam zaszkodził, ile i posłużył. Hugo podruzgotał dawne formy, dał hasło zuchwałym pomysłom, oswobodził z więzów sztukę, rozszerzył jej widnokrąg. To była dodatnia strona jego działań. Ale z całem wysileniem ścigał dwa cele: bogactwo rymu i wyszukanie słowa. Ta zbyt wyłączna dążność miała się stać szkodliwą dla poezyi.

„Przykład Wiktora Hugo pociągnął za sobą wielu, gdyż błyszczący był i nietrudny do naśladowania.

„Nikt z języka naszego nie wydobył wyrazów tak rzadkich, tak nowych, tak ciekawych, tak jaskrawych, tak pełnych życia, jak Wiktor Hugo, nikt nie pokonał tylu trudności, w rymowaniu. Przy wrodzonym darze wyrobił on sposób tworzenia sobie właściwy, poetyczny dar nasuwał mu piękne słowa, wspaniałe obrazy, wiersz dziwnie malowniczy. Ten sposób tworzenia polegał na dobieraniu najtrudniejszych, najbogatszych, najzuchwalszych rymów; bezustanna to łamigłówka, a ponieważ poeta wychodzi zwycięzko z próby, olśniewa, zachwyca czytelnika, wywiera wpływ istnie czarodziejski.

„Jako prawdziwy poeta, Wiktor Hugo umiał w tę wyszukaną formę przystroić myśl, uczucie lub fantazyą. Pod wytworną jego rzeźbą znajdujemy częstokroć coś więcej, niż piękność zarysów. Ale zobaczmy, co się stało. Ogół upodobał sobie nową sztukę; aby go zadowolić, potrzeba było wyszukiwać coraz nowych wyrazów, coraz szczególniejszych rymów, coraz błyskotliwszego kolorytu. I ogół znalazł czego pragnął. Naśladowcy Wiktora Hugo, zaniedbali całkiem wyższą nadzmysłową stronę sztuki, forma pochłonęła wszystko. Poezya dzisiejsza fabrykuje rzeźbione cacka, łamigłówki bez myśli i bez celu.

„Przy takim popędzie, cóż mogło stać się z Lamartinem? Należy on do epoki, kiedy sztuka pisarska służyła do wyrażenia uczuć albo myśli. Dziś wygląda on jak widmo wracające zpoza świata, wobec generacyi chciwej tylko wrażenia i niespodzianek!"

Inni nakoniec przypominają chwilę, kiedy Lamartine, już nie na polu poezyi, ale jako mąż stanu, okazał się natchnionym prorokiem; powtarzają wróżbę jego rzuconą z katedry w izbie prawodawczej, wróżbę, która w trzydzieści lat potem stać się miała rzeczywistością.

Kiedy z inicyatywy Thiersa izba przyjęła wniosek ufortyfikowania Paryża w r. 1841, Lamartine powstał silnie przeciwko temu. W dwóch mowach, 21 i 28 Stycznia, jakby natchniony duchem proroczym, odkrył ciemną zasłonę przyszłości.

„Przypuśćmy,—rzekł—on, nadzwyczajną wojnę, w jakiej armie liczą się na miliony bagnetów: i któż między wami, w tajnikach sumienia swego nie wyszepcze wraz ze mną, że na wypadek, gdyby Francya, mając pod bronią 800,000 ludzi, ponieść miała jednę lub dwie, z onych klęsk stanowiących o sile moralnej narodów, gdyby jej armie liniowe pokonane, rozbite, zdemoralizowane, nie mogły już stawić niezłomnego oporu najazdowi, gdyby w takim obezwładnieniu sił żywotnych, w takim sprzysiężeniu losów, korpusy nieprzyjacielskie, w kilkakroć sto tysięcy, szły z różnych stron na Paryż—w tym wypadku Paryż nie obroniłby Francyi, Paryż nie obroniłby samego siebie?! Powiecie może: Francya powstałaby wówczas, stworzyłaby nowe siły; nowa armia wyrosłaby zpod ziemi, i przybiegła na odsiecz oblężonym. Myślicie tak naprawdę? Jakto? czegoby nie dokonała uorganizowana siła kraju, generałowie, rząd, miałyżby dokonać rozpierzchłe garstki ludu? Jakto? skrępowane i pogruchotane członki spełniłyżby to, czegoby całe ciało, wolne w ruchach, dopełnić nie zdołało?

„Rozważcie tylko, coby nastąpić mogło w samym Paryżu. Będzież-li w mocy waszej bronić siebie i szańców przeciwko obcemu najeźdźcy, a zarazem bronić porządku społecznego, domowych progów, mienia i życia obywateli, przeciwko massom burzliwym, któreby zalały miasto wasze? Same zapasy żywności dla takich tłumów przerażają cyframi! Przypuśćmy jednak, że zdołacie nakarmić te tłumy: podobnaż wam będzie powściągnąć stan ich moralny, w tak nadzwyczajnych warunkach? Jakże, pytam was, w mieście opasanem armią nieprzyjacielską, oderwanem od kraju, utrzymać 300,000 proletaryatu bez roboty? Jaki rząd, jaka siła, powściągnie umysły wzburzone i rozkiełznane? Ludność ta składać się będzie w połowie z kobiet, dzieci i starców. Wyobraźmy sobie tę ludność spłoszoną, rozgorączkowaną długiem wyczekiwaniem. Dość skreślić w myśli taki obraz, aby cofnąć się z przerażeniem i grozą."

Lamartine nie miał widzieć na oczy tego straszliwego obrazu. Szczęściem dla niego, od lat dwóch spoczywał już w grobie, kiedy łuny pożarne unoszące się nad Paryżem, w tak wymowny a tak przerażający sposób, poświadczyły prawdę jego widzeń proroczych!

Z DZIAŁU PRZYRODY.

I.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Nowe materye użytkowe w ustroju roślinnym. — Tworzenie się alkaloidów w chorobach.—Szyny papierowe.—Pompa bez tłoka, wynalazek chiński.—Hamulec Lemoine'a. — Nowy pocisk z nitrogliceryny, zastosowany w artyleryi. — Rezultaty odbytych z nim doświadczeń. — Aliaże fosforu i krzemu. — Nowowykryte ślady przemysłu z epoki przedhistorycznej.— Pokarm z bawełny!—Nowy bruk.—Zużytkowanie dymu.—Pasożyt buraków.—Jak go tępić? — Nowe drzewo produkujące gutaperkę.—Roślina elektryczna.—Jej wpływy. — Olbrzymi dąb kopalny. — Prastare kolosy w państwie flory.

(Dalszy ciąg).

Jest do życzenia, aby te wszystkie korzyści urzeczywistniły się na szerszej skali przez zastosowanie szyn papierowych do torów dróg żelaznych europejskich, gdyż w miarę zwiększania się potrzeb przemysłu zasoby węgla zawartego w ziemi zmniejszają się. Przyjdzie czas, może już nie bardzo daleki, w którym cena tego materyału opałowego znacznie się podwyższy, wskutek małego zasobu. Otóż szyny stalowe potrzebują wiele, bardzo wiele węgla, którego skromna tylko ilość palać się będzie przy użyciu szyn papierowych.

Dziś już Amerykanie użytkują w ruchu tramwajowym z szyn papierowych, które, naturalnie, są nierównie lżejsze od stali i tańsze, oddając tęższą posługę, co żelazo.

Tissandier opisuje pompę bez tłoka, tak zwaną *chińską*, w następny sposób. Pompa bez tłoka składa się z rury szklanej, jeden metr wysokości mającej, opatrzonej u dołu lub u góry klapą otwierającą się zzewnątrz na wewnątrz, gdy jest pomieszczoną u dołu, a zwewnątrz nazewnątrz, gdy się mieści w górze rury. Tę zanurza się w wodzie i nadaje się jej szybkie ruchy postępowo-wsteczne w kierunku pionowym. Woda wówczas wznosi się szybko i wytryska silnie nazewnątrz. Łatwo możemy wyjaśnić to zjawisko. Rura po zanurzeniu w wodzie zapełnia się nią aż do poziomu zewnętrznego płynu i wpycha powietrze wewnątrz. Gdy cofamy gwałtownie rurę, z pozostawieniem jej końca dolnego w wodzie, klapa zamyka się, woda wznosi się wraz z rurą i szybkością nabytą góruje ponad poziomem. Powtarzając z pięć lub sześć razy ruch postępowo-wsteczny rury w wodzie, pozyskujemy ten skutek, że woda zapełnia rurę i wytryska za każdem wstrząśnieniem w kierunku od dołu ku górze. Ruch postępowo-wsteczny powinien zachodzić na długości od 15 do 20 centymetrów.

Dla przyrządzenia pompy chińskiej dość jest zamkąć jeden koniec rury czopem z wywierconym w nim otworem, a klapę wytworzyć z kawałka skóry, przyszpilając ją drutem mosiężnym. Skórę zwilgocić potrzeba, aby przyrząd dobrze funkcyonował. Klapa urządzona u góry rury jest dogodniejszą od przytwierdzonej u dołu, gdyż ta ostatnia wymaga rury dość wielkiej średnicy. Rura mająca 15 milimetrów średnicy jest dostateczną.

Można też poprostu zamiast klapy skórzanej użyć palca wskazującego ręki. Naciska się wówczas tym palcem zwilgoconym na część górną rury wszelako ciśnienie to nie powinno być zbyt

silnem. Zanurza się następnie na kilka centymetrów w wodzie rurę, wstrząsając nią silnie od dołu ku górze. Woda wtedy wznosi się za każdem poruszeniem i wytryska otworem górnym. Palec funkcyonuje tu jak klapa, gdy jest nieruchomo utrzymywanym.

Wszystkie dotąd znane hamulce nie zaradzały potrzebie; obecnie p. Lemoine zbudował hamulec wielce praktyczny i bardzo prostej konstrukcyi. Tworzy go sznur okręcający się około mutry koła; jeden koniec sznura pozostaje swobodnym w ręku woźnicy, drugi zaś łączy się z kładką hamulcową. Jak tylko woźnica lekko ściągnie sznur w ręku trzymany, koniec jego wskutek ruchu kołowego okręca się naokoło mutry i kładka hamulcowa, silnie naciśnięta, ruch powstrzymuje.

Hamulec Lemoine'a działa z wielką szybkością i w razie danym niemniej szybko przerywa swe działanie, które jednak wywiera wpływ tylko w ruchu postępowym; w ruchu bowiem wstecznym sznur się rozkręca, a temsamem ruchu kół nie hamuje.

Dla zaradzenia temu Lemoine pod pudłem powozowem pomieścił mechanizm pozostający w związku ze sznurem. Gdy woźnica zwalnia sznur utrzymywany w ręku, przyrząd mechaniczny toczy się po ziemi, nie stawiając przeszkody ruchowi postępowemu; lecz gdy ten przechodzi we wsteczny, przyrząd natychmiast osadza się i nie dozwala cofać się kołom.

W Washingtonie odbywano doświadczenia z granatami zawierającemi w sobie żelatynę w ilości 6 kilogrammów, w której mieściło się prawie $5\frac{1}{2}$ kilogramów czystej nitrogliceryny.

Pierwszy taki pocisk, wyrzucony z działa odtylcowego 15-to centymetrowego kalibru, wymierzony do tarczy, literalnie ją sproszkował, równie jak podstawę, na której była osadzoną.

Drugi pocisk rzucony w skałę wielkich wymiarów z odległości 900 metrów, wrył się w jej krawędź zachodnią i skruszył skałę w promieniu 9-cio-metrowym, druzgocząc ją doszczętnie.

Trzeci pocisk uderzył w środek skały, wybił w niej otwór, przedstawiający 7 metrów w średnicy, i 2 metry głębokości.—Ułomki skały, rozprysłe we wszystkie strony, odrzucone zostały aż do odległości 3.000 metrów! Jeden z nich ważący 6 kilogramów wrył się w ziemię w odległości dwóch kilometrów od miejsca, w którem odbywano próby.

Doświadczenia te okazały, że można, używając granatów napełnionych nitrogliceryną, otrzymać z działami małego kalibru rezultaty równie niszczące, jak pozyskiwane z pocisków wyrzucanych z dział wielkiego kalibru. Co się tycze wstrząśnienia powietrza, było ono tak silnem, że w wielu domach położonych w odległości sześciuset metrów od pola doświadczeń szyby w oknach popękały.

Fosfor z krzemem tworzą w połączeniu z metalami aliaże, zalecające się wielką twardością, lecz obok tego są one często kruche. PP. Fontenay Montefiore-Levis i Guillemin, zmieniając stosunki części składowych, otrzymali aliaże z fosforu, krzemu i bronzu przedstawiające niepospolitą oporność i zastosowali je z korzyścią do wyrobu takich machin, których części wskutek silnego i ciągłego tarcia, szybko się zużywają. Amerykanie i Anglicy, zmieniając do nieskończoności stosunki tych ciał, otrzymali aliaże wyborowe; między innemi PP. Cokshott i Jowett z Bradford, stapiając w wysokiej temperaturze manganez, fosfor, cynę i miedź, pozyskali aliaż, który się okazał najpraktyczniejszym do wyrobu machin ulegających w niedługim czasie dezolacyi. Kikaldy, słynny metalurg angielski, ocenia siłę oporu tego aljażu na 2 kilogrammy i 44 grammów na jednym milimetrze kwadratowym.

Widome ślady prastarej przedhistorycznej kultury odnajdują się prawie corocznie w najrozmaitszych miejscowościach kuli ziemskiej. Do tych należą mieszkania tak zwane *nawodne*, wykryte poraz pierwszy przed trzydziestu laty; odtąd też ciekawe poszukiwania na tej drodze odbywały się ciągle i przyniosły plony bogate, poznajamiając nas z życiem i obyczajami ludów zamierzchłej przeszłości. Obecnie członkowie Towarzystwa Archeologicznego Zurichskiego zwiedzili starożytną stacyą nawodną w Robenhausen, w której robotnicy pod kierownictwem pp. Jacob a i Henryka Messikommer'a rozkopali studnię. Poszukiwania nie były bezowocnemi; znaleziono małe jabłuszka poprzerzynane na dwie połowy i zwęglone, pestki malin, słomę, szczątki naczyń glinianych, a prócz tego kollekcyą przedmiotów, stanowiących jednę całość. Do tej zaliczamy szczątki tkanin zwęglonych, bryłkę kredy czerwonej i dwa stożki gliny z wydrążonemi otworami, które-to przedmioty członkowie towarzystwa poczytują za części warsztatu tkackiego z epoki ludów nawodnych. Obecność prawie wszędzie kredy czerwonej obok tkanin, naprowadza na wniosek, że posługiwała ona do ich zabarwiania.

Przedmioty tu znalezione w zestawieniu z poprzedniemi odkryciami zniewalają do wnioskowania, że w Robenhausen istniały warsztaty tkackie. Mnóztwo tygli napotkanych w sąsiedztwie rozkopanej studni, wskazuje nadto istnienie w tej miejscowości przedhistorycznej giserni.

Do najużyteczniejszych roślin należy niezaprzeczenie bawełna. Z włókna tego krzewu przemysł otrzymuje tkaniny, z ziarna oliwę, a obecnie i pożywienie pozyskiwać będzie. Pokarm z bawełny!—powie czytelnik—ależ to niemożliwe i nieprawdopodobne; a jednak jest prawdziwem, jak to okazał, uczony Sacc, który analizował ziarno pokarmowego drzewa bawełnianego, krzewiącego się w Boliwii.

Ziarno to składa się:

z kazeiny (sernika)	6,00
„ dextryny	0,20
„ cukru	2,00
„ bielma białkowego (perispermium)	32,40
„ fibryny (włóknika)	23,70
„ mączki	9,30
„ tłuszczu żółto-zielonawego	9,60
„ wosku żółtego	0,80
„ popiołów	8,00
„ wody	8,00
	100,00

Po zemleniu ziarno bawełniane dało rezultaty następujące:

Mąki	56,50
Otrębów czarnych	40,50
Strata czyniła	3,00
	100,00

Według Sacc'a, mąka ta zajmuje ważne miejsce wśród materyi pokarmowych. Rozpuszczona w wodzie, zabarwia ją na jasny kolor żółty i tworzy orszadę wielce przyjemnego smaku, która niewątpliwie będzie poszukiwaną w krajach gorących, jak naprzykład: w Hiszpanii, gdzie orszada migdałowa jest w powszechnem użyciu.

Dotąd ziarno bawełniane sprowadzano do Europy dla wyrobu oliwy, pozostałe zaś wytłoczyny posługiwały do żywienia bydła. Sacc sądzi, że można pozyskać z tego ziarna lepszą korzyść, otrzymując pożywienie zdrowe dla ludzi.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W czasie zamknięcia roku szkolnego odbyła się w Krakowie wystawa robót kobiecych, wykonanych przez uczennice kursów artystyczno-przemysłowych, przyłączonych do krajowego Seminaryum Żeńskiego, a obejmujących dwa działy: malarstwa stosowanego do przemysłu i koszykarstwa. Kursa te mające już istnienia lat cztery, otrzymują od władzy edukacyjnej niewielką zapomogę 25 zł. reńskich miesięcznie, z których 15 przeznaczone jest dla oddziału malarskiego, 10 dla koszykarskiego. Kierowniczką oddziału malarskiego jest p. Agnieszka z Wilczewskich Bufle, która niegdyś stała na czele podobnego zakładu pracy kobiecej we Włocławku. Wystawa tego oddziału, przedstawiająca okazy malowania na terrakocie, porcelanie, blasze, drzewie, skórze, płótnie, jucie, axamicie, atłasie i tym podobnych materyałach, sprawiła odrazu wrażenie zadawalniające, pociągając do siebie wzrok tak przez umiejętne i staranne wykończenie, jak niepospolity smak okazów swoich. Wszystkie wzory, poczynając od najdrobniejszych, były artystycznie piękne. Malowanie na glinie, naśladujące stare malowidła etruskie, od których uczennice, znające już dostatecznie rysynek, zaczynają naukę malowania, trzeba już nazwać bardzo ładnemi, jak również malowanie na drzewie, zdające się być inkrustacyą. Malowidła na płótnie i jucie farbami olejnemi—prześliczne, i zdaniem naszem, najstaranniejszy haft igłą niełatwo dorównać im może, a to tem więcej, że mu trudno o desenie, odpowiadające wzorom, jakie pędzel mieć może, czy kopiując przedmioty sztuki, czy biorąc je sobie z natury lub fantazyi. Krakowskie kursa otrzymały łaskawie te pomoce naukowe od malarza Ajdukiewicza, którego siostra, p. Jadwiga Ajdukiewicz, uczy się tam malowania na drzewie i na atłasie. Wzory zmarłego malarza Chlebowskiego, były również udzielone uczennicom, których smak artystyczny dobrze kształcony, obok starannej i na znajomości rysunku opartej nauki, okazał też zadawalniające rezultaty. Ornat będący kopią kosztownego, gobelinowego ornatu, który znajduje się między aparatami katedralnego kościoła na Wawelu, podobnie wykonana portiera i serweta malowana grubo nakładanem złotem na ciemno pąsowym atłasie, należały do celniejszych okazów wystawy, której niedoborem był tylko brak katalogu, mogącego dostarczyć zwiedzającym dokładniejszych wiadomości o nauczycielskich siłach tej kobiecej szkoły robót pięknych, rozwijającej się wyjątkowo pomyślnie. Znać, że w starym podwawelskim grodzie wieje już pewne tchnienie artystyczne, które oddziaływa, a edukacya wzroku odbywa się sama przez się na tych poważnie pięknych liniach muraw i gmachów, spotykanych tu co momet.

Nauka malowania rozpada się w szkole według materyału, który illustruje, na 8 działów. Uczennice, odznaczające się wyższym postępem i obdarowaniem artystycznem są: Ajdukiewicz Jadwiga, Bojniewicz Joanna, Cieślanka Aniela, Kowalska Helena, Janiszewska Wanda, Mycielska Aniela, Nieszczyńska Helena.

Oprócz względów zarobku, który staje się dla kobiety coraz trudniejszym, a który przy takiem stosowaniu sztuki do przemysłu osiągnąć może wyżej uzdolniona i oddana wyższym artystycznym smakom, dom w ozdobie swojej jakże wiele zyskać może, gdy gruby, prosty wyrób przemieni się pod ręką kobiety w rzecz wytwornie, szlachetnie piękną, a rzecz ta pomimo to nie będzie zbytkiem, a tylko dowodem artystycznych zamiłowań tej, która tu przewodniczy ogniskowi rodzinnemu. A ile godzin przyjemnej rozrywki da to jej samej— ile godzin zwycięzko odebranych nudom, które bywają często złym doradcą nieumiejącej się zająć, nie umiejącej umilić życia sobie i innym!

Kierowniczką, a zarazem nauczycielką, koszykarstwa jest p. Elżbieta Pawlicka. Wyroby wykonywane przez uczennice, poczynając od wytwornych i ozdobnych, jak kosze na kwiaty, koszyki do robótek kobiecych, i schodząc do koszów na proste potrzeby gospodarstwa domowego, dzielą się w ciągu pobieranej nauki na 7-em działów, według kształtów i materyału, z którego są wyrabiane. Okazy trzech uczennic: Białczyńskiej Jadwigi, Zienkowskiej Maryi, Wiśniejskiej Wiktoryi, odznaczyły się przed innemi; niemniej przecież wszystkie wyroby były ładne i starannie odrobione.

BOGACTWO I UBÓSTWO.

(Z Jokay'a: „**Przez czterdzieści lat.**“

— Dyabeł jest wielkim lichwiarzem: wypożycza pieniądz na sto od sta i myli się ten, kto-by mniemał, że otrzyma coś od niego na niższy procent. Niechby tylko każdy, mający z nim interessa, przejrzał rachunki swoje z tym wierzycielem, a przekonaliby się wszyscy, że jest tak, a nigdy inaczej. Czasami borguje on, ale przypisuje procent od procentu i traduje dłużnika, który-by bardzo w zapłacie zalegał. Niejeden układa sobie, że go potrafi oszukać i wymknąć mu się gładko, ale myli się w tem ogromnie. Czasem zadziwia ludzi jakiś niespodziewany czyn człowieka, po którym wcale co innego oczekiwano, a to jest exekucya pana dyabła, który swoje — to jest zastawioną duszę, odbiera. Zdrajcy kraju żony niewierne, złodzieje grosza publicznego to najczęściej tacy stradowani. Pożyczali od dyabła, aż z lichwy, którą brał od ich zasyconej chciwości, chęci paradowania, blasku, użycia, przyszło—do podłości, do świętokradztwa, do hańby! Oddali okrągłe sto, za sto!

— Tylko pierwszy krok jest trudnym przy robieniu fortuny, którą ludzie przesądni i starej szkoły nazywają źle nabytą. Jest tak jednakowo u mężczyzn, czy u kobiet: tylko pierwszy krok w tym kierunku rumieni i dolega w okolicy serca i sumienia. Potem idzie już gładko naprzód, jak po maśle. Zdarza się, że niejeden, skacząc w wodę mówi sobie:—Dam odrazu nurka, oprę się prędko o dno twarde i złapawszy rybę, zaraz się cisnę w górę, na brzeg wypłynę!... Przecież człowiek proponuje tylko, lecz jest ktoś inny, który dysponuje — otóż ów pływak, nie stały grunt, ale muł grzązki i sieć podwodnych roślin na dnie znalazłszy, już na wierzch nie wypłynie nigdy...

— Nie prawdaż to jest, że człowiek ubogi, to gbur pospolity? Że powinność swą wypełnia—to się tak należy; że pracuje—to przecież Pan Bóg na to stworzył... Więc też nazywa go się błaznem, skoro, zmęczywszy się, powie, iż jest nieszczęśliwym! Wolno mu powiesić się na każdem drzewie, jeżli życie wydaje mu się trudnem do zniesienia, a piękne panny nie potrzebują bynajmniej myśleć o tem, aby która z nich miała leczyć chore jego serce miłością swoją. Ale człowiek bogaty... ach! to istotota szlachetna, okaz ludzkości wspaniały! Chwali się go, błogosławi już za to, że widok jego szczęścia upiększa nam krajobraz życia. Szuka się zatem jego przyjaźni ogrzewającej nam serce; rada jego jest nam pożądaną, bo czyż może nie być mądrym on—który posiada pieniądze? Piękne osóbki na wydaniu wzruszają się też niezmiernie na jego widok.

— Próżny woreczek ma tak, jak kamfora, zapach, który denerwuje i siły odbiera.

— „Brylant—jestto kamień, posiadający duszę“ myśli tak bardzo wiele pań, chcących się uduchowić jego blaskiem.

— To tylko, co człowiek zje i wypije, należy rzeczywiście do niego — reszta jest złudzeniem! „Spanie, picie i jedzenie — daje trosk zapomnienie...“ opiewa dobre, racyonalne przysłowie stare, i prawdziwie smacznie jeść—jestto przyjemnie się bawić; dobry apetyt bywa najlepszą podstawą pięknych nadziei, a człowiek najedzony może znosić spokojniej wspomnienia wielkich czynów i ofiar ludzkich—jest łagodniejszym i wspanialszego usposobienia. Stół dobrze zastawiony jest też zapewne jedynym przedmiotem, którego aniołowie zazdroszczą ludziom, bo przypuszczalnie te biedne duchy czyste nie jedzą nigdy. I sławę też zdobyć sobie można za pośrednictwem nóg stołowych, bo kto ludzi smacznie ugaszcza, o tym mówią, iż jest człowiekiem kochanym, przyjemnym i szanownym mężem!

— Ojciec moj był małym urzędnikiem i miał czternaścioro dzieci; nie wiem zatem, zali go mogę pomieścić w liczbie takich kochanych, przyjemnych i szanownych mężów? Wprawdzie i u niego zastawiał się codzień stół niemały, tylko, że porcye, które tu rozdawano biesiadnikom, nie bywały w stosunku do ich apetytu, ani obfite, ani wykwintnie podane.

DROBNE LISTKI

— **Obserwatoryum meteorologiczne,** wzniesione wyżej, niż wszystkie, jakie istniały dotąd w Europie, stanie wkrótce w Tyrolu na wyniosłości, zwanej Sonnblick. Użyteczność obserwowania zjawisk natury na parę tysięcy stóp ponad ziemią, była oddawna znaną uczonym; ale brak miejsca, odpowiedniego do podobnych studyów, stanowił dotąd przeszkodę, usuwającą się obecnie. Pomieszczenie pustelnika, któryby chciał zamieszkać pomiędzy niebem a ziemią—oto trudność! Potrzebuje on domu drewnianego, bo w murowanym z łomów kamiennych przemarzłby niezawodnie w temperaturze nieustannie nizkiej; lecz znowu budynek drewniany, choćby przytwierdzony do skały najmocniejszemi wiązaniami z żelaza, musiałby zostać wkrótce zerwanym i w dół strąconym przez wichry i burze, które na tych już wysokościach panują srogo, nie łamiąc się o zapory żadne. Pustelnik z Sonnblick będzie też miał dwa siedliska: domek drewniany, nieco poniżej, zasłonięty przez odłam skały, możliwie opatrzony przeciw zimnu, i wieżę kamienną, zbudowaną tak mocno, z tak grubemi ścianami, aby oprzeć się mogła najsilniejszym prądom powietrza. Trzeba dodać, że jest już ktoś, gotowy zająć ten nadpowietrzny posterunek wartownika nauki, nieznajdującego już obok siebie żadnej żyjącej istoty.

— **Znany hypnotyzer** Donato, którego rzeczywiste nazwisko jest d'Hérault, a ojczyzną Belgia, sprawił zeszłego miesiąca w Medyolanie i Turynie wrażenie takie, przez doświadczenia czynione publicznie, tak, jak u nas, że władze miejscowe zawezwały „Najwyższą Włoską Radę Zdrowia“, zali dalsze przedstawienia mogą mieć miejsce? W Medyolanie zakazała ich własnowolnie Rada Miejska; w Rzymie, gdzie Donato udał się z kolei, przemawiał publicznie w sali „Stowarzyszenia Prassy“, ale żadne doświadczenia hypnotyczne na osobach miejsca mieć nie mogło. Uznano je za szkodliwe dla wrażliwych natur włoskich. Rzymski „Urząd zdrowia“, uczynił w dziennikach uwagę, że nigdzie i w żadnym razie nie jest to przedmiot do bawiących przedstawień publicznych. Rzecz powinna zostawać w dziedzinie nauki.

— **Projekt Wystawy Niemieckiej** w 1888 r., mający skryty cel przeciwstawienia się Powszechnej Wystawie Paryzkiej, przypadającej właśnie w tym czasie, spotkał się z niepowodzeniem, jakkolwiek twórcą jego był Bismarck, który chciał tym sposobem powstrzymać Niemcy od udziału w Wystawie Paryzkiej, niemiłej mu tak dlatego, że Paryzka, jak dla stuletniej rocznicy, z którą się łączy. Kanclerz Niemiecki sądził może, że przeciągnie do Berlina wystawców i innych krajów, więc dla tych wszystkich względów skarb państwa obiecywał wystawie 3.000.000 marek zapomogi. Ale Rada Związkowa odmówiła żądanych pieniędzy na zasadzie, że większość fabrykantów i przemysłowców niemieckich nie sympatyzuje z myślą wystawy w 1888 r. Zatem projekt upada, gdyż owa summa trzech milionów marek, koniecznie potrzebnych dla przedsięwzięcia, nie dałaby się pokryć dochodami z wystawy, niepopularnej poza pruską partyą kanclerza.

— **Siostra Alfreda de Musset,** M-me Lardin odmówiła swego pozwolenia na libretto, przerobione ze sztuki poety: „On ne badine pas avec l'amour.“ W dodatku stanowczo zakazała przeróbek dzieł swego brata. Słuszność byłaby po jej stronie, gdyby chciano użyć poetycznych jego kreacyi na wykrojenie z nich textu do lichych operetek, ale tu muzykę miał pisać Gounod; zatem rzecz musiałaby być szlachetną.

— **Liszt** zmarły przed kilku dniami w Bayreuth, miał skończyć w Październiku 75 lat życia. Stowarzyszenie miłośników jego muzyki postanowiło było obchodzić w Lipsku rocznicę jego urodzin w sposób bardzo okazały. Dramatyczne przedstawienie „Legendy Ś-tej Elżbiety“ miało stanowić główny punkt uroczystości, które zakreślono na dni kilka. Do Bayreuth przybył mistrz na ślub prawnuczki swojej, Danielli von Bülow, i pozostał, aby być przytomnym dorocznym uroczystościom na cześć Wagnera, które rozpoczęte w dniu 23 ubiegłego miesiąca obejmować miały w ciągu swego trwania dziewięć przedstawień „Parsifala“ i ośm: „Trystana i Isoldy.“ Śmierć przerwała te artystyczne festyny.

— **Niepospolity przykład** ekonomii pracy zostawił też po sobie Wiktor Hugo. Poczynając od 17 roku życia, to jest od rozpoczęcia pierwszego większego utworu: „Bug Jargal“, wstawał on zawsze, latem, czy zimą, o godzinie 5-tej, o 6 tej siadał do pisania i pracował już bez przerwy do 11-ej. Chyba bardzo wyjątkowe okoliczności zmieniały czasowo ten tryb życia, który prowadził, aż do śmierci; że zaś umarł, mając lat 83, zatem pracował tak regularnie po pięć godzin dziennie przez lat 67. Ta długoletnia praca poranna nie wyczerpywała go przecież, bo nie chorował nigdy, ani też nie działała szkodliwie na polot jego twórczej fantazyi, skoro zajął jedno z pierwszych miejsc w dziedzinie nowoczesnej literatury i niejednokrotnie mówił o tem z dumą, że zdołał ująć w karby woli swojej to, co właśnie za nieujęte uchodzi—natchnienie poetyczne! Nie zawodziło go nigdy, przybywając zawsze na wezwanie, bo też dość mu było odczytać, co poprzedniego dnia napisał, aby silna i zawsze lotna jego wyobraźnia zapaliła się natychmiast pod wrażeniem rzeczy czytanej i snuła dalsze jej obrazy—„Chwytam Pegaza za grzywę i wskakuję na niego“...—mawiał, określając łatwość rozbudzenia w sobie twórczości przez wrażliwość wyobraźni, wzruszonej natychmiast, gdy ja cóś żywiej. Gdy po skończonej robocie porannej kładł pióro i zwykł był mawiać: „J'ai fini ma journée.“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości,** przez Florencyą Marryat.

TREŚĆ. Legia honorowa kobiet francuzkich. — Serenada melancholiczna, poezya, z Jarosława Vrchlickiego. — **Boży gniew,** powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego — Życie Japonek. — **Nowiny paryzkie,** (dokończenie). — **Z działu przyrody,** (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego. — **Kronika działalności kobiecej.** — Bogactwo i ubóstwo. — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości,** przez Florencyą Marryat. — 10 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Іюля 1886 года.